

POSTSCRIPTUM.

KOMENTARZE DO ROZMOWY

Andrzej Borowski |

Skomentować tę dyskusję nie jest łatwo, każdy bowiem z jej uczestników mówi o czymś innym i na coś innego narzeka. Co gorsza, dyskutanci posługują się – niczym budowniczymi wieży Babel – różnymi językami. Zadany im temat, czyli „sytuację polonistyki”, czynią przedmiotem błyskotliwych (w ich mniemaniu) „wariacji” stylistycznych, od radykalnego konceptu („polonistyki nie ma”) poczynając, poprzez *Rektorsrede* Heideggera z roku 1933 (zdumiewający pomysł, aby się na nią *hic et nunc* powoływać!), a na metaforze „katastrofy budowlanej” kończąc. Najbardziej zabawna wydaje mi się apofatyczna retoryka paradoksu prof. Markowskiego, która powinna być całą dyskusję zakończyć, zanim jeszcze się na dobre zaczęła. Zabawne jest wynikające z tej wypowiedzi przekonanie, że myśli niepoważnie o polonistyce każdy, dla kogo status polonistyki jest oczywisty. Otóż ja ochoczo do tej właśnie grupy „dyskutantów niepoważnych” dołączam, albowiem także i dla mnie polonistyka, czyli filologia polska, jest faktem oczywistym, nie zaś urojeniem. Jest mianowicie kierunkiem studiów, który pragnie studiować raz większa, raz mniejsza liczba ludzi rozmaicie motywowanych, jest także (w ramach literaturoznawstwa, językoznawstwa i kulturoznawstwa) jedną z dyscyplin nauk humanistycznych, której nikt, kto tego robić nie chce, nie musi uprawiać zawodowo.

Większy byłby z dyskusji pożytek, gdyby zajęto się jedną szczegółową kwestią, a ponieważ jest ich przynajmniej kilka, to wypadłoby również kilka takich debat każdej z nich poświęcić, nie siląc się już na paradoksy i koncepty. A oto kwestie, które widziałbym na pierwszym planie:

1. Po pierwsze, skupienie się na konkretnym środowisku polonistycznym, na przykład na naszym, „gołębnikowym” i na jego problemach. Wszak Rada Wydziału bardzo wiele może zmienić i postanowić, pod warunkiem, że nie przeżywa zbiorowo rozterki na temat „sen to czy jawa”... Konkretnie propo-

zycje głębokich zmian już przecież zgłoszono (dr Bukowiec i dr Niedźwiedź) i do dyskusji nad nimi, mam nadzieję, w najbliższym czasie dojdzie. Jest przecież sporo miejsca pozostawionego w ministerialnych standardach (chyba wciąż to jest 60%, tak było onegdaj) na indywidualizację programów specjalności, dodałbym: programów alternatywnych, z bardzo ograniczonym (właśnie do 30%) ich rdzeniem podstawowym. Kapitalne jest w tej sytuacji pojęcie kulturowego kanonu lektur: sporo się o tym ostatnio na świecie i w Polsce dyskutowało, więc nie można narzekać na brak pomysłów w rekonstrukcji tego kanonu. To wszak zależy od nas samych i tę odpowiedzialność musi sobie uświadomić każdy, kto poważnie (albo i „niepoważnie” – jak określa to prof. Markowski) myśli o polonistyce, naszej polonistyce. Warto by sobie przy okazji uświadomić, że po to zmieniliśmy kilkanaście lat temu Instytut Filologii Polskiej na Instytut Polonistyki (teraz Wydział), żeby „przebudowę” polonistyki zapoczątkować, żeby otworzyć ją na atrakcyjną dla studentów zagraniczną formułę „Polish Studies” (którą teraz prof. Markowski wszak realizuje) oraz by zmienić mentalność naszych krajowych studentów przyzwyczajonych od dziesięcioleci do „polonistyki nauczycielskiej” z dodatkiem „czegoś jeszcze” tu i ówdzie.

2. Po drugie, zajęcie się – w skali krajowej – palącym problemem matury polonistycznej, czyli konkretnie likwidacją jej obecnej, kuriozalnej formuły, której objaśniać tu nie ma potrzeby. Ona to bowiem deformuje już na poziomie szkoły średniej mentalność przyszłych, także i naszych studentów. Lat by potrzeba na odkręcanie powstałych w tym kontekście nieporozumień.

3. Po trzecie, oddziaływanie poprzez Radę Główną na właściwe instytucje ministerialne, gdy tylko mamy wiedzę o możliwych do przeprowadzenia ulepszeniach standardów nauczania. Nie jest to łatwe działanie, ale z pewnością bardziej praktyczne, aniżeli narzekanie na ministerstwo, na „system boloński”, na szkoły zawodowe czy na... pogodę. Nie jest prawdą, że z powodu owego systemu trzeba było wcisnąć dawniejszą pięcioletnią polonistykę w trzy lata studiów licencjackich, bo dwa lata studiów magisterskich zawsze były wolne od „harówki” i poświęcone na pisanie pracy. Problemem jest natomiast, moim zdaniem, realizacja przytłaczającego liczbą godzin programu praktyk nauczycielskich w ciągu trzech lat licencjatu. Uważam ten segment studiów polonistycznych za pokaźny rezerwuar czasu, który można by spożytkować znacznie lepiej, także i dla przyszłych nauczycieli, którzy aby dobrze uczyć, powinni najpierw sami się nauczyć mówić i pisać, a to u naszych studentów katastrofalnie szwankuje.

4. Po czwarte, przemyślenie (w skali lokalnej, ale i w skali kraju) idei polonistyki filologicznej. Jeden z dyskutantów słusznie, lecz nieskutecznie postulował pojmowanie polonistyki jako pracy nad tekstem. Taka formuła brzmi słabo i prowokuje polemikę, dlatego proponowałbym przypomnieć sobie fakt, o którym uczy się na pierwszym roku, a mianowicie, iż filologia (bez przymiotnika) pojmowana była kiedyś jako „superdyscyplina”, jako „władczyni” *artium liberalium*, czyli praktycznie totalnego paradygmatu kultury. Moi se-

minarzyści na przykład marzą o studiowaniu filologii, czyli wiedzy otwartej, wielotematycznej (a przecież nie „interdyscyplinarnej”, jak się to magicznie do niedawna roiło!), prowadzącej do mądrości, która uczy prawdy (*vera docet* – taka jest motywacja studiujących od XII wieku). Prawda zaś każdej dyscypliny nie jest jedna raz na zawsze i dlatego studiowanie filologii musi zachowywać perspektywę historyczną. W przeciwnym razie zaczyna się produkować ideologię.

5. Po piąte, to, czym się formułę filologii (a więc zasadniczo wiedzy o tekstach kultury) wypełnia, zależy od inteligencji i od uczciwości nauczyciela akademickiego, dlatego na obie te kwalifikacje trzeba wreszcie pilnie zwrócić uwagę i wyciągać z ocen okresowych (także i z ocen dokonywanych przez studentów) praktyczne, uczciwe wnioski. Z faktu, że studenci zaczynają omijać środowiska oraz jednostki intelektualnie i moralnie mizerne, można się tylko cieszyć.

Rozmowa dotycząca sytuacji polonistyki, jej przyszłości i zagrożeń poruszyła wiele spraw bardzo istotnych i prowokuje, żeby wtrącić swoje „trzy grosze”, choćby najkrócej. Sytuacja ta chyba rozgrywa się na dwu poziomach: ogólnych ram instytucjonalnych, na które wpłynąć niesłychanie trudno (co nie znaczy, że muszą być uważane za nieuchronne, jak dopust boży, ale próba wywierania wpływu na tym poziomie to sprawa długofalowych zbiorowych wysiłków środowiska), oraz bardziej szczegółowych rozwiązań dotyczących sposobów uniwersyteckiego kształcenia, co do których sędzę, że w dużym stopniu są w zasięgu naszych decyzji. W porządku ram ogólnych doskwiera nam niedobry sposób wcielania w życie systemu bolońskiego, aktywizujący głównie jego wady, a blokujący zalety. Wskutek tego coraz głośniejsza staje się opinia, że zalety istnieją tylko w pobożnych życzeniach teoretycznych założeń. Tu chcę się zastanowić nad tym, co dałoby się zrobić już teraz, w ramach obecnie obowiązujących reguł, bez czekania na generalne ulepszenia, bo jak głosi stare przysłowie, „zanim słońko wzejdzie, rosa oczy wyje”.

Uważam, że polonistyka nadal potrzebuje przebudowy (i to jako procesu, a nie jakiejś jednorazowej zmiany), ale nie zaczynania wszystkiego kompletnie od nowa. Miejscem na ogłaszanie rewolucji totalnej są manifesty artystów (także pisarzy) – a już nawet w ich działalności twórczej, usiłującej spełniać idee manifestów, założenie kompletnej nowości pozostaje utopią, tylko w jakimś stopniu realizowalną. Natomiast w refleksji (nauce) o sztuce i literaturze element ciągłości, pamięci, tradycji jest po prostu nieodzownym warunkiem twórczości. Prawdziwe, nieodwracalne rewolucje poznawcze zdarzają się chyba tylko w naukach przyrodniczych i ścisłych. W filozofii „kopernikański przewrót” dokonywał się już wiele razy i ogłaszanie go jest powracającym, trwałym elementem myśli humanistycznej. Podoba mi się buntowniczy, inspirowany ferment w wypowiedziach Michała Pawła Markowskiego, ale jego pomysły, jak zbudować polonistykę od nowa – już nie. Uważam, że alternatywą dla dziewiętnastowiecznej „polonistyki narodowej” nie jest bynajmniej ucze-

nie czytania literatury na dziełach Kafki i Woltera. Takie postępowanie jest tylko małpowaniem innych (to prawda, że bogatszych) literatur – i to dostępnych dzięki tłumaczeniom, a nie w ich właściwym, językowym kształcie. Zresztą ta pogardzana tradycyjna polonistyka często miała studentów wprowadzonych już przed maturą w znajomość literatury antycznej i klasyki europejskiej, więc może była mniej zaściankowa, niż się to dzisiaj wydaje. Otwarcie na świat powinno się dokonywać na polonistyce dzięki łączeniu historii literatury polskiej z lekturą dzieł innych literatur, a nie na zasadzie przypadkowego miotania się wśród tekstów, jak w supermarkecie. Uważam, że nie można wyrzucić z polonistyki historii literatury polskiej, choć z pewnością ani nie można na historii poprzestać, ani – przede wszystkim – budować złudzenia kompletności, całości, „obiektywności” kanonu i kursu, który dzieje tego kanonu objaśnia. Przekładając ten jeden problem na praktykę instytucjonalnych ram obecnej uniwersyteckiej dydaktyki, trzeba rozdzielić „krótki kurs”, który się realnie (lub mniej więcej realnie) zmieści w trzyletnich studiach licencjackich, od bardzo szerokiego obszaru ambitnie zakreślonej masy dzieł literackich, które pojawią się na dwuletnich studiach magisterskich. Oczywiście, trzeba też się zgodzić, że ten wielki obszar będzie poznawany tylko w monograficznych wycinkach, zbliżeniach, pozostawiając studentom świadomość istnienia tej wielkiej niepoznanej liczby dzieł, które powinni czytać przez resztę życia, ale o której istnieniu jednak się na uniwersytecie dowiedzą. Mówiąc o dalszych praktycznych warunkach realizacji, dodajmy jeszcze, że temu podziałowi na tryb licencjacki i magisterski muszą odpowiadać dwie listy lektur, na których nie powtarzają się teksty, choć powtarzają się nazwiska pisarzy. Każda z list powinna być skonstruowana z pewnym „zapasem”, żeby studenci mogli w niej sami dokonywać wyboru, aczkolwiek na pewnych określonych warunkach, np. że obowiązuje ich przeczytanie trzydziestu pozycji spośród pięćdziesięciu i że musi być trochę liryki, trochę prozy, trochę dramatu. To „rozmiękczy” ideę kanonu, a nie wepchnie w jakiś zupełny chaos i dezorientację. Na dwuletnich studiach magisterskich lista powinna być jeszcze obszerniejsza, ale liczba pozycji do wyboru jeszcze mniejsza, tak by zajęcia z literatury (nadal nieodrzucające toku historycznego) kierowały się zdecydowanie wyraźniej ku problematyce bardziej wycinkowym i zarazem bardziej pogłębionym.

Sprzeczne z pozoru pytanie, czy studenci mają studiować wiedzę czy kształcić umiejętności czytania, przypomina spór o pierwszeństwo jajka czy kury. Trzeba się stale poruszać wahadłowym ruchem pomiędzy stopniowym przyrostem wiedzy (oczywiście nie tylko z historii literatury, ale też poetyki i teorii) a rozwijaniem sztuki czytania (interpretowania). Prawo do spontanicznego włączania czytanego utworu w krąg własnych doświadczeń egzystencjalnych, emocji, poglądów, upodobań – podstawowe dla autentycznego kontaktu z literaturą – wcale przecież nie musi się kłócić z poczuciem szacunku dla tego, co ten utwór z sobą niesie, co mi ofiarowuje. Czy stępiamy wrażliwość studencką, przekonując, że w literaturze znajdujemy coś, czego przedtem nie mieliśmy sami z siebie, i że warto to coś nowego zrozumieć, zdobyć

dla siebie? Bez jakiegoś poziomu wiedzy – zarówno z poetyki, jak i historii pozwalającej uchwycić kontekst, przecież nie dotrzemy do tego czegoś nowego, co niesie z sobą utwór literacki. Słuchając tylko własnej wrażliwości, nie zrozumiemy nawet siebie samych. Dlatego niezbędną jest historia literatury (byle nie traktowana dogmatycznie). Przyjemność surfowania po niej można osiągnąć dopiero wtedy, gdy się mniej więcej wie, po czym się surfuje.

I jeszcze jedna szczegółowa sprawa, z innego zupełnie zakresu. Trzeba uczynić wszystko (choć nie wiem, jak), żeby absolwenci trzyletnich studiów licencjackich **NIE MIELI PRAWA NAUCZANIA W SZKOLE**. Nawet podstawowej. Są do tego zupełnie nieprzygotowani. Już przerabialiśmy podobne pomysły w początkowych czasach istnienia PRL, kiedy funkcjonowały dwu- i trzyletnie pomaturalne studia nauczycielskie i wyższe studia nauczycielskie. Wówczas to było jakoś motywowane brakiem kadry nauczycielskiej – ale z czasem zażądano doksztalcenia się do stopnia magistra. A teraz, bez żadnych uzasadnień na rynku pracy, który dla nauczycieli (także polonistów) kurczy się z powodu niżu demograficznego, daje się dyplom zawodowy licencjata, który ma prawo uczyć w szkole, będąc ledwo trzy lata po maturze. I przekazując uczniom swoje dziedzictwo niedouczenia.

Samorząd z ograniczoną odpowiedzialnością

W dyskusji „Wielogłosu” spotykają się dwa stanowiska i każde z nich ma ograniczenia. Gdyby wyjść od różnic pomiędzy wizją polonistyki profesora Henryka Markiewicza a wizją profesora Michała Markowskiego, zobaczyć można istotę problemu. Paradoksalnie bowiem obaj profesorowie stoją na komfortowym gruncie Akademii – właśnie, pisanej wielkimi literami. Obaj są utopistami, chociaż wyznaczają różne drogi samej dyscyplinie. W redakcji z panią profesor Teresą Walas spotkali się poloniści średniego pokolenia, a więc ci, którzy na własnej skórze odczuwają degradację instytucji, przesłań, pozycji. Na własnej skórze, bowiem zaczynają pełnić funkcje kierownicze, dyrektorskie, profesorskie, czyli mają obowiązek zadbać nie tylko o własne zajęcia, lecz i o zatrudnienie dla kolegów, a także istnienie dla swoich hobby-stycznych wydziałów, zanurzonych w morzu rynkowej, liberalnej, bolońskiej i po prostu chaotycznej zmiany. Ta różnica nie oznacza, że rację mają, nazwę ich tak, „praktycy pragmatyści”. Ponieważ bóle zarządzania stały się i moim udziałem, rozumiem wszystkie argumenty. Ponieważ je rozumiem, chciałabym móc przyjąć utopijne wizje proponowane przez profesora Henryka Markiewicza (jakaś ich część), a do elitarnego towarzystwa namiętnych interpretatorów profesora Michała Pawła Markowskiego zapisałabym się w ciemno, bo naprawdę zależy mi w moim życiu zawodowym tylko na tym, żeby ucztować nad tekstami w gronie zainteresowanych tym studentek i studentów. Gotowa jestem przeczytać za nich wszystko, w tym Książnica, jeśli pozwolą mi prowadzić się ku czytelniczym epifaniom.

A jednak „praktycy pragmatyści”, rozważnie wskazujący na kłopot z utrzymaniem się na powierzchni w sytuacji, gdy nasz kierunek wybierają inaczej przygotowywani do matury młodzi ludzie, nie we wszystkim mają rację. Nasza elastyczność, wynalazczość, udawanie, iż polonistyka jest naprawdę zakamuflowaną komunikacją społeczną, dziennikarstwem, kulturoznawstwem, wymianą międzykulturową, studiami *gender*, neolingwistyką...

czymkolwiek, tylko nie filologią, nie polską, nie książkową, nie akademicką, nie bezużyteczną, prowadzi nas tymczasem donikąd. Dotyczy to zresztą Uniwersytetu w ogóle, ale najdotkliwiej dyscyplin naukowych i kierunków studiów uznawanych za niszowe. Oczywiście, zgoda na zaliczenie do kierunków „niszowych” filologii narodowej nie najlepiej świadczy o wydolności środowisk humanistycznych. Nie używam słowa „narodowe” niemal nigdy, robię wyjątek dla filologii. Otwarcie świata, włączanie, czy też re-unia z tradycją europejską nie powinny oznaczać biernej zgody na marginalizowanie języka polskiego jako języka edukacyjnego w Polsce. Nie powinny i już, a oznaczają. „Unowocześnienie” programów nauczania i wymagań maturalnych jest dowodem na tę marginalizację, stawia bowiem na umiejętności i sprawności właściwe dla innych dziedzin wiedzy. Uczymy się po polsku, interpretujemy przez medium pierwszego języka. Zamykanie wyobraźni powodowane fragmentaryzacją i standaryzacją wiedzy o literaturze od gimnazjum po programy uniwersyteckie zubaża nasz potencjał jako zbiorowości. W tym punkcie zresztą polemizowałabym z Michałem Pawłem Markowskim: tradycja literatury polskiej jest dla mnie pierwszoplanowa, ponieważ ukształtowała mój świat. Może wolałabym czytać Francuzów, jednak wartości uniwersalne i jednostkowe ich kanonu nie wyjaśniają mi mojej zaściankowej tradycji, dziejów mojej rodziny, moich ograniczeń, lęków i widoku za oknem sali wykładowej, w której prowadzę zajęcia. „Muszę utaplać się w prowincji” – powiedziałam w dyskusji prowadzonej podczas Akademickiego Kongresu Feministycznego w Słubicach, odpowiadając w ten sposób na pytanie o właściwy kierunek dla *gender studies* w Polsce. *Gender studies* – nawet terminologia pozostaje angielska, a dylemat podobny do polonistyczno-komparatystycznego. Dla mnie interpretacja musi być utaplana w prowincji – nieważne, czy mowa o historii kobiet, czy o literaturze.

Wróćmy jednak do pragmatyzmu. Ustępstwa, do jakich okazujemy się zdolni, powodują zalewanie Uniwersytetu światem. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie fakt, że świat także nie wie, w jakim kierunku płynąć. Specyfika epok przejściowych polega również na tym, że zły pieniądź wypiera lepszy. A dynamika tego procesu ze mnie, rewolucjonistki, czyni konserwatystkę. Byłabym za tym, żeby zburzyć niewydolne instytucje, niechby nawet moje miejsce pracy, gdyby na horyzoncie pojawiała się wabiąca perspektywa. Zaorać Uniwersytet, żeby było gdzie rozmawiać o Grocholi? Doświadczenie Krzysztofa Uniłowskiego, wskazującego na opór studentek wobec rozmowy o prozie popularnej, wydaje mi się anegdotą zakręconego belfra. Otóż studentki tę Grochołę, niestety, czytają, studentki nie wstydzą się uznawać Coelho za mędrca, studentki oglądają telenowele. Ich prawo, a ja nie nawołuję do walki o podział na wysokie i niskie. Jednak chodzi o to, żeby nie ustąpić, nie korzyć się przed kulturą masową, nie umizgiwać do świata grającego znaczącymi kartami. Rozumieć swój czas, ale mieć narzędzia do dekonstrukcji w pogotowiu. Zdekonstruowanie Grocholi to łatwizna, której wykonanie może prowadzić – i prowadzi – do zdemolowania wyobrażeń o tym, czym jest literatura.

Tę pracę wykonuje za nas świat, ja chciałabym dać swoim studentkom inną perspektywę.

Właśnie: powinniśmy wiedzieć, gdzie leży granica naszych dostosowań. Tymczasem nikt nas nie pyta o tę granicę, mamy się „dopasować”, „unowocześnić”, a więc uczyć garstkę przyszłych nauczycieli i pozyskiwać największą możliwą grupę studentów, którym obiecamy różne atrakcyjne zawody. Koledzy w dyskusji wskazują na małą elastyczność kadry, a ja bym wskazała na inny grzech środowiska – na hipokryzję. Ponieważ celem głównym jest zdobycie klienta – zapisy na seminaria, wykłady, fakultety, kierunki itp. – udajemy, że najlepsi są ci, którzy klientów mają. Jakimi metodami ich werbują? Istnieją powszechnie znane środki przymusu, a najgroźniejszym w dłuższej perspektywie okaże się brak wymagań. Taka jest prawda: najwięcej osób wybiera najłatwiejsze pasma przedmiotowe, wymuszając często obniżanie wymagań u pozostałych wykładowców. To oczywistość, ale takimi argumentami w dobrym towarzystwie nie wolno operować. Kadzimy sobie nawzajem, a *show* trwa. Bo nie chodzi o więcej czy mniej historii literatury, o moc indywidualności, o zasługi naukowe, napisane przez nas książki. Urynkowienie szkolnictwa wyższego, po części i nauki, skutkuje zawieraniem kontraktów handlowych, w ramach których dopuszczalne są chwytły promocyjne. Biorąc to pod uwagę, przychyliłabym się do wniosku, że mamy za dużo profesorów, bo być może za łatwo jest zostać obecnie w Polsce profesorem, a nowe pomysły reformatorskie mogą ten stopień kariery jeszcze zbanalizować. Tymczasem studentki i studenci oczekują od nas, na szczęście, czasami czegoś więcej niż jasnego podania kryteriów zaliczenia oraz bibliografii, tak cenionych przez organa kontrolne, jeszcze dają się wciągać w walkę o teksty. A jeśli do nas nie przyjdą, zachęceni wszelkimi dozwolonymi przez prawo metodami, nie wejdą do gry. Jedno jest pewne: nie leci z nami pilot, musimy wziąć się do roboty, zawałczyć o pozycję filologii narodowej, udawać, że nie rozumiemy konieczności dalszych ustępstw, podkreślać na każdym kroku, że dydaktyka wyrasta z nauki, że nie jesteśmy dyspozycyjnym samorządem wyrobników z ograniczoną odpowiedzialnością.

Polonistyka w alienacji

Ta niezwykle pouczająca rozmowa ujawnia, raz mniejszą, raz większą, skłonność jej uczestników do ponownego zdefiniowania wspólnego pola działania, które – na rozmaitym poziomie kompetencji organizacyjnych – współkształtują. Tym, co się od razu narzuca obserwatorowi tej wymiany zdań, jest wyrażane przez dyskutantów poczucie alienacji, jako procesu raczej się pogłębiającego i przyspieszającego (jeden z dyskutantów mówi: „oni się po prostu nie odnajdują w tej strukturze”). Polonistyka wydaje im się instytucją coraz bardziej nie swoją, nienależącą do żadnej ze stron tradycyjnej *universitas*; ani do profesorów, ani do studentów. Przy czym mowa tu o wirtualnych studentach, bo oni w debacie nie uczestniczą, choć większość tego, co się mówi, mówi się niejako z „ich” perspektywy.

W debacie źródła takiego poczucia alienacji instytucji, która działa raczej mocą inercji, są wielorakie. Skrótowno przedstawiłbym je jako: 1) kryzys uniwersytetu w gospodarce rynkowej, 2) kryzys uniwersytetu spowodowany reformą bolońską, 3) kryzys państwa narodowego w zjednoczonej Europie i globalizującym się świecie, rzutujący na kryzys filologii narodowej, 4) kryzys szarpanej reformami szkoły średniej i kryzys zawodu nauczyciela języka polskiego, 5) kryzys tradycyjnej legitymizacji wiedzy, 6) kryzys literatury w przestrzeni multimedialnej.

Te wątki się zazębiają: umasowienie kształcenia i jego urynkowanie zastępuje tradycyjną jego motywację, jaką było zdobywanie wiedzy, czyli właśnie... kształcenie się (w sensie *Bildung*), którego logiczną konsekwencję stanowiło kształcenie innych, czyli pełnienie funkcji nauczycielskich, w tym, w szczególności, kształcenie tych, którzy będą gotowi kształcić się dalej (w ten sposób to koło się kręciło). Teraz, odwrotnie, wymaga się nowego zdefiniowania sprawności, jakie stanowić by miały ofertę dla studenta-klienta korzystającego z usługi uniwersyteckiej. Tymczasem tradycyjna wiedza jest „fetyzyzowana, a pozorna w gruncie rzeczy”. Kryzys tradycyjnej legitymizacji wiedzy powoduje więc nieograniczoną plastyczność modelowania tego, czego się

nauczyć trzeba. Nie wiem nawet, czy o jakimś „trzeba” jest jeszcze mowa, kiedy słyszę, że „nie wszyscy muszą wiedzieć, co to jest metafora i znać się na awangardzie”. Czy wyobrażacie sobie Państwo lekarza, który nie wiedziałby nic o metabolizmie albo nie znał się na układzie krążenia?

Fala dyskusji miota rozmówcami od burty do burty: raz chcą oni dawać studentowi prawo do kształtowania studiów wedle własnej, zmieniającej się potrzeby, prawo nieograniczonej możliwości wyboru tego, czego się będzie uczył (a czego się uczył nie będzie, bo nie zechce), prawo do kierowania się jako ideą przewodnią własnymi zainteresowaniami. Innym razem stwierdzają, że faktycznie student został przez nich ubezwłasnowolniony. Profesorowie łąją samych siebie, wołając, że (niesłusznie) domagają się od studentów, żeby „zrobili wszystko”, żeby „wszystko przeczytali”, „przerobili” ustaloną listę lektur, pomni na „lament studentów, którzy mówią, że oni się po prostu nie odnajdują w tej strukturze”. Dalejże więc, „odchudzać kanon studentów” (w tym ostatnim sformułowaniu: „kanon studentów”, pobrzmiwa zresztą oksymoron). Dominuje przekonanie sufłowane studentowi, że my go „fabrykujemy”, że „my mu robimy” coś, za co on się na nas zemści, odchodząc już po pierwszym stopniu studiów do konkurencji. Co więcej, słyhać wyrzut sumienia profesorów, którzy forsując podobny model, kształcą postawy konformistyczne: adaptację do systemu, mimikrę, grę w udawanie.

To ubolewanie nad ograniczonymi (chyba głównie psychologicznie!) możliwościami przyswajania przez studentów wiedzy (a czasem po prostu całkiem ciekawych lektur, które przez wieki były dla ludzi źródłem przyjemności) kontrastuje z widzeniem profesorów, którzy choć przecie starsi (a więc mniej odporni i słabsi także psychicznie) powinni „poszerzać swoją listę lektur w nieskończoność”. A także pochłaniać i przyswajając zmieniające się paradygmaty, wdawać się w nieograniczone kontakty interdyscyplinarne. „Polonista – czytamy – musi mieć kompetencje również spoza własnej dyscypliny”. Musi w związku z tym umieć się dzielić studentem z innymi wydziałami (w jednej z propozycji powinien być gotów oddać innym 1/3 zajęć, co jednak wywołuje obawę o wzajemność podobnych usług między wydziałami, czyli o „balans”). Musi dbać o proporcje, żeby nie uczyć za dużo literatury polskiej i ustąpić miejsca literaturze obcej. Musi umieć chodzić po linii: wprowadzić norweskiego oficera w tajniki literatury polskiej... Musi w końcu wykazać gotowość do daleko idących ustępstw we własnym gronie, które często oznaczają rozsądne samoograniczenie się, rezygnację z przysłowiowego w tej dyskusji Książnina. Wyobraźmy sobie samozaparcie kogoś, kto poświęcił pół życia na badanie Książnina, a teraz „musi pójść na ustępstwa” i... pozbyć się Książnina z kursu historii literatury.

W tym miejscu zresztą warto przypomnieć najskrajniejszy postulat, jaki się w dyskusji pojawia, zważywszy, że poloniści są w zdecydowanej większości historykami literatury, postulat układania kursów, „które by po pierwsze – szły na przekór historycznoliterackim potrzebom i nawykom”.

Mówiąc krótko: studentowi należy się silne poczucie tożsamości, pewności swoich potrzeb, zainteresowań, aspiracji, integralności dokonywanych wyborów, jakby nie ulegały one, o co słusznie upomina się Krzysztof Uniłowski, właśnie stopniowemu kształtowaniu się. Profesorowi to samo szkodzi: on musi się najczęściej wyrzekać wszystkiego, co go ukształtowało, wykazując przysłowiową elastyczność, czyli właśnie większość cech, o których „fabrykowanie” u studenta siebie oskarża, tyle że przydając im negatywne formuły (adaptacja, mimikra, udawanie). Czasem ten kontrast wykreowanych postaw jest schematyczny: dawniej uniwersytet był jedynym miejscem, w którym warto było być, dziś takich miejsc jest wiele (a uniwersytet jest ostatnim z nich), dawniej czytaliśmy dzieła wszystkie z juveniliami i posthumami, dziś mało kto czyta w ogóle.

Dopowiedzmy rzecz do końca: dawniej student musiał się raczej dostosować do profesora, żeby się od niego uczyć czegoś, co on już umie, albo jako wiedzę wytwarza, dziś profesor dostosowuje się do studenta, żeby – wedle trafnej formuły Teresy Walas – z jego udziałem (jako „wtajemniczającego Mistrza”) doszło do „stworzenia przestrzeni, w której zachodzi doświadczenie egzystencjalne”. Kłopot w tym, jak dowcipnie pointuje Teresa Walas, że „państwo [...] nie jest gotowe finansować jawnie takich egzystencjalnych przygód”. Stąd przekonanie o marginalizacji tego rodzaju „przygód”, zamiast których „fabrykujemy absolwentów”.

Owo odczuwane przez profesorów zagrożenie, które wymusza na nich wspomniane ustępstwa, stanowią przede wszystkim dwie siły: jedna rosnąca, druga malejąca. Tą pierwszą siłą jest „atrakcyjność”, „otwarcie”, *praxis*, którymi legitymują się wobec studentów (na rynku) inne dziedziny: „silniejsze dziedziny humanistyki” (np. dziennikarstwo). Retoryka „sił” czyni z atrakcyjności swego rodzaju „naturalność”. Tej nowej – rynkowej, medialnej – naturze przeciwstawia się stara, utożsamiana przez Pawła Próchniaka z tradycją „nowoczesnego uniwersytetu”: „dążeniem do prawdy i potrzebą sensu”. Figura „siły” ma však swoją wadę, przesłania odpowiedzialność za stan dyscypliny i wskazuje na zewnętrzne determinacje. Uderza mnie zwłaszcza to, że mowa „sił” niejako przesłania w tej dyskusji szerszą refleksję historyczną. Pojawia się tu, co prawda, teza, że to, czego rezultatem była „dyscyplina taka jak polonistyka” (dziewiętnastowieczny nacjonalizm), „najzwyczajniej upadło”, że jest to zatem „upadła podstawa”. Ale ten, oparty zresztą na powszechnym przekonaniu (widocznym w *Powers of Philology* Gumbrechta), pogląd ogłoszony przez Michała Markowskiego należałoby však wycieniować. Wydaje mi się, że – jak to ujmuje Ryszard Nycz – „formacyjnej” roli polonistyki na wszystkich szczeblach edukacji nie da się w Polsce zastąpić czymś innym.

Jeśli wolno w tym miejscu pozwolić sobie na ton osobisty, przypominam sobie, jak koledzy organizujący kursy języka i kultury polskiej dla cudzoziemców, zaproponowali, żebym jako meloman opowiedział o polskiej muzyce, ilustrując to nagraniami kompozytorów nieznanymi dla naszych gości. Wtedy uświadomiłem sobie, że poza Chopinem i Szymanowskim, i może Pendere-

ckim oraz Lutosławskim, nie mam nic. Zrobiło mi się wstyd. Kto bowiem, jak nie polski meloman, ma mówić cudzoziemcom o polskiej muzyce? A mnie łątwiej byłoby o Mozarcie. Muzyka wszak posługuje się językiem międzynarodowym, literatura nie da się oderwać od języka, w którym została stworzona. Dlatego nikt nie zastąpi polonisty w zadaniu konserwowania i przekazywania narodowego dziedzictwa.

Drugą oddziałującą na profesorów siłą jest literatura: całej dyskusji towarzyszy przekonanie o jej malejącej społecznie, moralnie, narodowo, i jak tam chcemy, randze. „Ostatecznie – mówi Piotr Śliwiński – siłą pociągową zainteresowania literaturą polską jest współcześnie powstająca literatura”. Stąd znamienne przesunięcie w dyskusji: Próchniak mówi: „Powinniśmy uprawiać przede wszystkim polonistykę arcydzieł, polonistykę istotnych tekstów”, na co Markowski przecząco odpowiada: „Nie, nie tekstów – problemów”. Próchniak próbuje kompromisu: „Probleatów – wpisanych w teksty”.

Ta stychomytia ukazuje ważne przesunięcie: problem zastępuje tekst, co najwyżej problem w tekst wpisany. Zwłaszcza – gdy zważyć konsensus dyskutantów co do jednego – że polonistyczna kompetencja obejmuje pole tekstów (nie przypadkiem jest to tytuł najlepszego pisma naukowego stworzonego przez literaturoznawców) oraz ich interpretowanie.

Nie bardzo bym się zgodził, że medium literackie uległo dziś jakiemuś unieważnieniu. Znow przydałaby się refleksja historyczna. Żyjemy przecież w momencie niesłychanie szerokiego praktykowania literackiego pisania przez bardzo wielu ludzi niebędących zawodowcami: pisanie się w ogromnym stopniu zdemokratyzowało. Służą aktorom, śpiewakom, politykom i celebrytom, nie mówiąc o podróżnikach i dziennikarzach. Blogi idą w miliony, a może już w miliardy. Literackie – wedle tradycji – narracje stały się nieodłączne od praktyk naukowych. A literaturoznawcze metody weszły do tak odległych dziedzin, jak długoterminowe terapie.

Dlatego nie bardzo rozumiem narzekania na kurczenie się literaturoznawczej, czy szerzej – polonistycznej, kompetencji do rozmiarów przysłowiowej filologii klasycznej (która *nota bene* niezłe prosperuje). I to w momencie, gdy antropologia chciałaby widzieć w literaturze najskuteczniejsze ze znanych kulturowych narzędzi refleksji. Jasne, że, jak to mawiał stary Sycylińczyk z powieści Lampedusa „Wiele się musi zmienić, aby wszystko pozostało po staremu”. Przez to „po staremu” rozumiem przede wszystkim ów entuzjazm, który towarzyszył mojemu pokoleniu w czasie studiowania polonistyki (żeby nie wspomnieć o tym, jak podniośle mówił o swoim wyborze polonistyki Kazimierz Wyka, którego stulecie urodzin właśnie obchodzimy).

Stawiane przez rozmówców hasła przywrócenia polonistyce „siły poznawczej”, „nośności społecznej” czy „poczucia wagi” nie powinny wobec obiektywnych warunków brzmieć jak pobożne życzenia. Poloniści mają nad czym pracować i mają, by tak rzec, „czym” pracować (w sensie aparatury poznawczej). Mają wreszcie z kim pracować – dotyczy to zarówno środowiska na-

ukowego (w końcu neofilolodzy i kulturoznawcy wywodzą się ze wspólnego pnia), jak i chętnych do studiowania.

Proponowane przez dyskutantów rozwiązania kryzysu odbijają się od formuły *Polonistyka w przebudowie*, którą posłużyliśmy się z Ryszardem Nyczem na poprzednim Zjeździe Polonistów. Mimo rewolucyjnej wizji Michała Markowskiego, która jest całkiem ahistoryczna (i anarchistyczna), raczej dominują zdania mówiące o „okrągłym stole”, rozważające kwestię tożsamości dyscypliny w kategoriach „oferty”, „targetu profesjonalnego” (w opozycji do wspomnianego „doświadczenia egzystencjalnego”), podkreślające – nie zawsze katastroficznie – zjawisko swoistej „kreolizacji” dyscypliny.

Ze swej strony, przyglądając się tej wymianie zdań z – zawsze wygodnego – miejsca na widowni, chciałem zaakcentować, że ukazane w dyskusji projekcje ról obu protagonistów: profesorów i studentów, jako depozytariuszy polonistyki, tak się w swojej symetrii „porozjeżdżały”, że fundowana na nich instytucja pozostała w pewnej alienacji: ani swoja, ani nie swoja.

Dyskusja „o kondycji i perspektywach polonistyki uniwersyteckiej” jest dyskusją prawdziwie akademicką: nie ma w niej zgody co to tego, jak jest, aczkolwiek przeważa ocena pesymistyczna i przekonanie, że trzeba coś zmienić, nie ma też zgody co do tego, jak powinno być i co należy zmienić. Ale, jak przystało na dyskusję akademicką, jest ona ciekawa retorycznie, inteligentna i – trochę oderwana od rzeczywistości. Polonistyka jest częścią uniwersytetu, a uniwersytet jest jednością różnicy urząd – wolność, nauczanie – badanie, dostarczanie użytecznej wiedzy – kształcenie (w sensie niemieckiego *Bildung*). Polonistyka, podobnie jak wszystkie inne dyscypliny, oscyluje między tymi różnicami. Jeśli student wybierze specjalność nauczycielską, dziennikarską czy edytorską, to pierwszym obowiązkiem jest dostarczenie mu użytecznej wiedzy, jeśli oficer marynarki norweskiej wybierze polonistykę u Michała Pawła Markowskiego, to pierwszym obowiązkiem jest kształcenie. To sytuacja decyduje, w jakim stopniu polonistyka wpasowuje się w urząd, nauczanie, dostarczanie użytecznej wiedzy, a w jakim może kreować sytuację swą wolnością, badaniem naukowym, kształceniem. Jesteśmy w przededniu reformy uniwersytetu. Są dwa projekty: radykalny ekspercki i zachowawczy rektorski. Dobrze byłoby przeprowadzić grę symulacyjną, co polonistyka może i powinna ugrać w tym nowym rozdaniu kart w wersji eksperckiej czy rektorskiej, inaczej mówiąc, ile wolności będzie miała w nowym urzędzie, ile możliwości badania, ile możliwości kształcenia...

Innym przykładem oderwania od rzeczywistości jest traktowanie polonistyki jako literaturoznawstwa, pominięcie językoznawstwa, na co zresztą pod koniec dyskusji zwrócono uwagę. A uważam, że to przede wszystkim językoznawstwo zapewnia polonistyce przetrwanie, z językoznawstwa płyną do literaturoznawstwa ożywcze impulsy, nowoczesne językoznawstwo zawiera obszerne spektrum – od teorii funkcjonowania mózgu po teorię komunikacji. W tym spektrum konstruuje się pojęcie znaku, znaczenia, rozumienia, prawdy, literatury, poezji. Dyskusja mogłaby się więc zacząć od tematu: „O kondy-

cji i perspektywie językoznawstwa na polonistycę uniwersyteckiej oraz jego możliwym dobroczynnym oddziaływaniu na literaturoznawstwo”.

Oto parę innych sytuacji „urzędu”, w których polonistyka musi organizować swoją „wolność”. Pierwsza, to niż geograficzny, starzenie się społeczeństwa; zacznie się walka uniwersytetów i fakultetów o nabór. Coraz mniej będzie kandydatów przygotowujących się do zawodów obsługujących młodych, coraz więcej – do zawodów obsługujących ludzi starych. Trzeba myśleć, jaki może być udział polonistyki w tej drugiej kategorii. Jeszcze inną sytuację stanowi jakość kandydatów na polonistykę. Wbrew jeremiadom niektórych dyskutantów sądzę, że nie są coraz gorsi, są inni. Dyskutanci należą do pokolenia galaktyki Gutenberga, które przeszło inicjację informatyczną, zaś na studia przychodzą młodzi należący do innej galaktyki, informatycznej, *computer kids*. Polonistyka musi więc znaleźć wyjście w sytuacji, w której tak zwana literatura piękna stanowi coraz mniejszy kawałek tortu komunikacyjnego, a do tego jej kawałki w tym torcie przepuszczone są często przez inne media niż druk.

Następna sprawa: jesteśmy w Unii Europejskiej, znajomość innych języków, innych literatur, innych kultur jest coraz powszechniejsza i coraz bardziej potrzebna; polonistyka musi zmienić swój kanon lektur, by sprostać tym wyzwaniom. Przyznaję rację dyskutantom domagającym się dostosowania kanonu do fizycznych możliwości studenta. Trzeba ograniczyć kanon polski i zrobić miejsce dla kanonu europejskiego oraz światowego, ograniczyć kanon arcydzieł, by zrobić miejsce dla książek popularnych i regionalnych, ograniczyć kanon literacki, by zrobić miejsce dla zjawiska przechodzenia od literatury do komiksu, filmu, gry komputerowej – i z powrotem. To budzi zrozumiałe lęki dyskutantów przed deprofesjonalizacją polonisty, amatorszczyzną w antropologii, socjologii, psychologii, filmologii itd. Ale to stało się już dawno, gwałtowny przyrost informacji zamyka nas w wąskiej specjalności: jestem historykiem literatury a nie teoretykiem, jako historyk jestem specjalistą od romantyzmu, jako specjalista od romantyzmu szczególną wiedzę gromadzę o Mickiewiczu itd., jestem więc dyletantem jako teoretyk, jako znawca literatury średniowiecznej, jako znawca Słowackiego itd. Jednocześnie zaś zarurzeni jesteśmy we współczesnym *universum semanticum* i musimy umieć w nim pływać, bo obmywa ono naszą wąską specjalizację i kształtuje ją.

Inną sporną kwestią był dylemat: oprzeć polonistykę na historii czy na interpretacji. Proponuję wyjście: oprzeć polonistykę na interpretacji interpretacyj, na interpretacji drugiego stopnia. To znaczy: nie uczyć, jak interpretować *Pana Tadeusza* czy *Lalkę* ani nie ołsniewać własną interpretacją, lecz pokazywać, jak te utwory były i są czytane, interpretowane. To wyzwala z wszelkich fundamentalizmów, dogmatyzmów, roszczeń do ostatecznej prawdy, pokazuje funkcję literatury w społecznej komunikacji i prywatne interesy interpretatorów.

I ostatnia sprawa: spójrzmy na samych siebie, w jakim stopniu jesteśmy zdolni i przygotowani do kreowania wolności polonistyki w zmieniającej się

sytuacji. Istnieje parę przeszkód. Jedna z nich, słusznie wspomniana w dyskusji, to przypisanie polonisty do jednego uniwersytetu – od studiów po emeryturę. Dzieje się tak nie zawsze z naszej winy, ale ten brak mobilności sprzyja rutynie. Jeśli uniwersytety przejdą na kontrakty, poszukując ciągle nowych akademików wyróżniających się jakimiś nowatorskimi osiągnięciami naukowymi, publikacjami, ważnymi grantami, stażami na znanych uniwersytetach krajowych i zagranicznych – wzmoże to rywalizację z wszystkimi jej ujemnymi skutkami dla niektórych polonistów, ale i wymusi innowacyjność. Nie jest tu jednak istotne przeżycie tych, którzy najlepiej się dostosowują do otoczenia, ale tych, którzy wytwarzają środki do zmiany otoczenia na swoją korzyść. Mam tu na myśli innowacyjność w sensie Lamarcka, a nie Darwina. Zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, brzmi cynicznie w ustach emeryta, który wycofał się z wyścigu i może bezkarnie mówić, co myśli. Skoro jednak pytany jestem o kondycję i perspektywy uniwersyteckiej polonistyki, nie mogę i tego pominąć.

O tym, co sędzę o sytuacji polonistyki uniwersyteckiej, pisałem niedawno w „Tygodniku Powszechnym” (2009, nr 35), nowych przemyśleń na ten temat nie mam, więc nie kwapiłbym się do dalszego udziału w tej dyskusji, tym bardziej że od dwóch przeszło dziesięcioleci straciłem kontakt z dydaktyką. Z pewną satysfakcją przeczytałem w udostępnionych mi materiałach, że niektórzy dyskutanci dzielają moje obawy przed rozmyciem studiów polonistycznych i przed niebezpieczeństwami deprofesjonalizacji oraz „miałkiej amatorszczyzny”, jakie pociągałaby za sobą realizacja propozycji prof. Markowskiego. Ale w dyskusji tej przypisano mi poglądy, do których nie mogę się przyznać, z wdzięcznością więc korzystam z zaproszenia „Wielogłosu”, by się do niej dopisać.

1. Prof. Skrendo twierdzi, że według mnie „polonistyka jest stała, pewna i oczywista”. Gdzież to znalazł u mnie tak prymitywne, fundamentalistyczne poglądy? Głupio udowadniać, że się nie jest wielbłądem, muszę jednak w tej sytuacji zacytować słowa z mojego – sam je tak nazwałem – wyznania wiary:

Skądkolwiek patrzemy, synteza historycznoliteracka jawi się nam jako konstrukcja ułonna – niedająca się w pełni zrealizować ze względu na luki materiałowe, niepewna swego obiektywizmu w doborze i interpretacji dostępnego materiału, zdeformowana, jeśli nie subiektywizmem, to w każdym razie prezentyzmem, tylko hipotetyczna w wyjaśnianiu, zmagająca się z trudnościami odpornej przez swą linearność materii językowej, skazana nieuchronnie na niejednorodność i niekonsekwencje, kompromisy i wybiegi (*Dylematy historyka literatury*).

2. Prof. Próchniak trafnie odczytuje różnicę między stanowiskiem Markowskiego a moim: on kładzie nacisk na „żywą lekturę”, unieważniającą w jakimś sensie kontekst historyczny, ja – opowiadam się za „ważnym wysłuchaniem głosu, który dobiega z odległej przeszłości”. Dodałbym tylko, że owej „żywej lektury” ryczałtem nie odrzucam, twierdząc nawet, że niekiedy powsta-

ją na tej drodze konstrukcje o dużej wartości intelektualnej czy artystycznej (jak np. esej Stempowskiego o *Panu Jowialskim*), tyle tylko, że sztuka ta jest trudna do nauczenia i interpretacje te nie nadają się do konstruowania jakiegokolwiek uporządkowanej wiedzy o literaturze.

Nie rozumiem, dlaczego różnica wskazana przez Próchniaka została dalej scharakteryzowana jako „napięcie między potrzebą sensu a dążeniem do prawdy”. Przecież Markowskiego „potrzeba sensu” rości sobie pretensje do swojej prawdziwości, a moje dążenie do prawdy nie jest chyba bezsensowne.

W pewnym związku z omówioną tu opozycją pozostaje zapewne opozycja: z jednej strony krytyczny namysł, podawanie wiedzy w wątpliwość, traktowanie jej jako hipotezy i interpretacji, a z drugiej – pełna prawda, definitywność. Jak z punktu 1. wynika, jestem od tego stanowiska daleki; myślę zresztą, że nikt z historyków literatury go nie reprezentuje. A co do podawania wiedzy w wątpliwość, to żeby to robić, trzeba przedtem z tą wiedzą się zaznajomić.

3. Prof. Markowski utrzymuje, że ja uważam status polonistyki za oczywisty, on natomiast sądzi, że trzeba ją nie przebudowywać, lecz „wymyślić na nowo”. Otóż status polonistyki (czy filologii polskiej) jest dla mnie o tyle tylko oczywisty, że oznacza ona wiedzę o języku i literaturze polskiej oraz sposobach jej należytego uprawiania (a nie na przykład wiedzę o polskiej sztuce czy myśli politycznej). Markowski natomiast, z ferworem i aplombem przypominającym mi młodego Stefana Żółkiewskiego, taką polonistykę po prostu chciałby zlikwidować i zatrzymując nazwę – wypełnić ją zupełnie innymi treściami, które nazwać by trzeba hermeneutyką stosowaną. Uważam, że byłaby to dziedzina nauczania bardzo pożyteczna (także dla historyków, filozofów, teologów itd.), ale dlaczego przemycać ją pod nazwą polonistyki? W innym miejscu sam Markowski zamiast polonistyki chciałby widzieć na uniwersytetach wydział literatury, na który by przyszli **też** studenci zainteresowani literaturą polską. O językowym segmencie tej edukacji milczy¹. Profesorowie interpretowaliby tu dowolnie wybrane teksty, niekoniecznie z literatury polskiej i niekoniecznie literackie, a więc – jak przypuszczam – jeden z nich Kafkę i Schulza, drugi Montaigne’a i Bacona, trzeci – Agambena i Badiou (bo tych się w tym sezonie nosi).

Zapewne, wszystko to mogłoby być bardzo interesujące, a nawet porywające w wykonaniu pedagoga tak utalentowanego jak Markowski. Co jednak mieliby robić ci, którzy przechodzą na studia przede wszystkim po to, by zdobyć usystematyzowaną wiedzę o języku i literaturze polskiej? Prof. Skrendo nazwał mój awaryjny pomysł „polonistyki katakumbowej” niedobrym pomysłem. Być może ratowałby on jednak przed skandaliczną sytuacją, w której na polskich uniwersytetach nie można by skoncentrować swych studiów nad językiem i literaturą ojczystą. Markowski uważa zapewne, że nic by w tym

¹ Nie wspominają o językoznawstwie również inni uczestnicy dyskusji. Jeden tylko prof. Uniłowski mówi, że językoznawcy mają tu przewagę, bo mogą nauczyć studentów redagowania prasy, dokonywania korekty, więc trzeba zmienić proporcje i przede wszystkim tego nauczać studentów. Skromny to program – i wątpię czy językoznawcy-poloniści by się z nim zgodzili.

złego nie było, bo dyscyplina zajmująca się tymi dziedzinami to przeżytek dziewiętnastowiecznego myślenia nacjonalistycznego. Na to bulwersujące stwierdzenie nikt z dyskutantów bezpośrednio nie zareagował, co mnie dziwi, ale w propozycjach programowych na szczęście nikt tej tezy nie wziął pod uwagę².

4. W związku z tym jeszcze jedna uwaga: dyskutanci zastanawiają się wyłącznie nad tym, jak uczynić polonistykę dla studentów atrakcyjną lub/i pożyteczną, tj. umożliwiającą im w przyszłości sukces zawodowy (przy czym nikt na pewno nie wie, co by studentów interesowało i jakie są ich plany zawodowe, bo – o ile mi wiadomo – żadnych sondaży nie przeprowadzono). Jeden tylko Próchniak postuluje, by studia polonistyczne były skorelowane z prowadzonymi przez wykładowców badaniami naukowymi. A te mogą być dalekie od zainteresowań czy potrzeb studentów. Dyskutanci, koncentrując się na nich, mało pamiętali o tym, że do zadań uniwersytetów należy nie tylko kształcenie, ale i rozwój nauki. Co więcej, jak dotąd, głównie pod tym kątem widzenia dobiera się młodą kadrę; często są to świetnie zapowiadający się badacze, ale pedagogowie – nie najlepsi. (Tu nasuwa się uwaga, że nikt nie pomyślał o tym, iż początkującym należy się doksztalcenie w zakresie dydaktyki uniwersyteckiej. Jak dotąd są skazani na naśladowanie swoich mistrzów lub własne, dyletanckie improwizacje).

Jednocześnie – co też w dyskusji przeoczono – program studiów powinien być zharmonizowany z programem nauczania języka polskiego w szkole średniej – zarówno w tym sensie, że powinien być nad nim nadbudowany, jeśli chodzi o nauczanie studentów, jak i do niego dostosowany, jeśli chodzi o przygotowanie tych studentów do zawodu nauczycielskiego.

Uczestnicy dyskusji wbrew Markowskiemu zajęli postawę nie rewolucyjną, lecz reformistyczną i utrakwistyczną, to znaczy postulują zarówno kształcenie umiejętności interpretacyjnych studentów w większym niż dotychczas zakresie, jak i dostarczenie im niezbędnej i uporządkowanej wiedzy, z utrzymaniem prymatu języka i literatury polskiej.

Warto tu może przypomnieć, że wyeksponowanie w tym programie interpretacji jest nawrotem do tendencji dominującej zwłaszcza w literaturoznawstwie zachodnim w pierwszych dwóch dziesięcioleciach powojennych i zachęcałbym do przypomnienia sobie ówczesnej refleksji teoretycznej w tej dziedzinie.

5. W związku z interpretacją wyłoniły się w dyskusji kwestie sporne, w które i ja jestem uwikłany. Prof. Skrendo twierdzi, iż jeśli Markiewicz spiera się z Markowskim w taki sposób, iż pierwszy jest za interpretacją poprawną, a drugi za twórczą, to spór jest pozorny i niezrozumiały, bo interpretacja twórcza to interpretacja poprawna plus coś jeszcze. Na co można by odpowiedzieć,

² Nb. w tak wysoko i słusznie przez Markowskiego cenionym Harvardzie istnieje Wydział Anglistyki, na którym jeszcze dwa lata temu prowadzone były wykłady kursowe (teraz zastąpione monograficznymi) i obowiązywał bardzo obszerny, uciążliwy dla studentów kanon lektur, wtedy dopiero zredukowany.

że gdyby Markiewicz odrzucał to „coś jeszcze”, to spór nie byłby pozorny (ale nie odrzuca!). Markowski odpowiada inaczej – że nigdy w ten sposób sprawy nie stawiał i że go ta opozycja w ogóle nie interesuje. Ejże! Czyżby profesor Markowski zapomniał, jak kontrastował z sobą egzegezę i użycie tekstu w referacie *Interpretacja i literatura*, z wyraźnym uprzywilejowaniem użycia? Co do mnie, nie stosowałem określeń „interpretacja poprawna” i „interpretacja twórcza”, lecz interpretacja historyczna idealizująca (spełniająca historycznie adekwatne dyrektywy odbioru i utrzymana w ramach historycznie adekwatnego obrazu świata) i interpretacja adaptacyjna, projektująca (odwołująca się do zmodernizowanych dyrektyw odbioru i zmodernizowanego obrazu świata).

W dyskusji używano na przemian określeń: „interpretacja idiosynkratyczna” i „interpretacja kreatywna” (przypomina się tu osławiona „księgowość kreatywna”), przeciw którym Markowski nie protestował. Kiedy jednak Skrendo skarżył się na trudność znalezienia kontrargumentów, gdy student broni całkowitej na tym terenie dowolności na zasadzie *de gustibus non est disputandum* – Markowski ofuknął go i postawił do kąta, mówiąc: „Kto przyjmuje poważnie taki argument i przed nim się korzy, jest nieprzygotowany do prowadzenia zajęć ze studentami”. Niemniej jednak, na pytanie, jak sobie z takimi poglądami radzić – nie odpowiedział. Pisał kiedyś, że „użycie podlega sprecyzowanym regułom”, ale reguł tych – o ile wiem – nigdy nie sformułował.

Prof. Śliwiński sądzi, że permissywności interpretacyjnej można sprzeciwić się tylko przez „rozszerzenie przestrzeni rozmowy”. To jakiś skrót myślowy, którego nie rozumiem. Wydaje mi się, że takie rozmowy niewiele by dały, bo u nas zazwyczaj toczą się w taki sposób, że każdy mówi „pod siebie”, nie troszcząc się o zbliżenie swego stanowiska ze stanowiskiem partnera dyskusji.

Dyskusja o interpretacji byłaby bardziej produktywna, gdyby opierała się na konkretnych przykładach. Tu pojawił się tylko jeden taki przykład: według dra Rojka *Hymn o zachodzie słońca* Słowackiego nie powinien być interpretowany jako wyraz tęsknoty za ojczyzną, bo studentów to nie poruszy, jako że nie tęsknią za ojczyzną, natomiast utwór może do nich przemówić, jeśli potraktuje się go jako zapis poczucia „że życie przecieka między palcami” – co znaczy chyba, że takie właśnie poczucie współbrzmi z przeżyciami egzystencjalnymi dzisiejszych studentów. Odsuwam na bok pytanie, skąd o tym Rojek wie. Mój sprzeciw budzi tu egocentryczna, by nie rzec narcystyczna, postawa wobec czytanego tekstu. To prawda, że literatura pozwala nam lepiej poznać samych siebie i nazwać swoje stany uczuciowe, ale wartość jej polega także na tym, że kształtuje ona umiejętność współprzeżywania właśnie Inności – odległej czasowo i kulturowo problematyki egzystencjalnej i moralnej.

Tomasz Mizerkiewicz

Polonistyka jako odmiana kultury akademickiej

Polonistyka współczesna zyskać może nie tylko na trafnym rozstrzygnięciu kwestii, czy ma być polonistyką „czystą” czy polonistyką interdyscyplinarną. Dyskutanci „Wielogłosu” pominęli wątek niby poboczny, a może całkiem istotny – otóż polonistyka bywa atrakcyjna (lub nieatrakcyjna) jako miejsce wytwarzania szczególnej odmiany kultury akademickiej. Rozpocznę od drobnej obserwacji środowiskowej. Otóż od jakiegoś czasu z niemalym zdziwieniem obserwuję żywiołową aktywność studentów zakładających i prowadzących koła naukowe. Ze swoich czasów studenckich pamiętam, że koło naukowe było jedno i wyglądało na administracyjną przybudówkę władz, dającą owym władzom alibi współpracy ze studentami. Nie mógłbym tego powiedzieć o tym nowym zjawisku, gdyż w ożywieniu owej niby przestarzałej formy działalności uniwersyteckiej bierze udział wielu młodych ludzi, angażujących się np. w przygotowywanie studenckich konferencji naukowych, sesji studencko-pracowniczych o zasięgu niekiedy międzynarodowym itp. Zastanawia mnie, dlaczego w tej i podobnych sytuacjach chcą się przymierzać do ról, których spełnianie obserwują w wykonaniu swoich wykładowców. Może tym, co szczególnie chętnie wówczas przyswajają, jest coś, co należy określić ogólnym mianem kultury akademickiej.

Rozwijając te uwagi, wspomnę o pewnym eksperymencie czy „badaniu terenowym”, jakie swego czasu przeprowadziłem w grupie trzeciorocznych studentów na konwersatorium z teorii literatury. Otóż zaproponowałem im lekturę rozmowy zamieszczonej w pierwszym numerze „Wielogłosu”, w której profesorowie Markiewicz, Markowski i Nycz (ze współudziałem profesor Walas i doktora Kunza) dyskutowali nad kwestiami profesjonalizmu we współczesnej filologii. Studentki i studenci podzielili się na obozy stronników każdego z dyskutantów (najsilniejsze stronnictwo „trzymało” z profesorem Markiewiczem), ale mimo dosyć bezpardonowego sporu, zgodzili się wyrazić nie co do jednego, iż mianowicie... chętnie pooglądaliby sobie tego rodzaju

dyskusję polonistów w telewizji, zamiast spotykać tam nudny, bo strukturalnie ten sam, typ dyskursu. Jakkolwiek niesłychanie zabawnie brzmiała ta konkluzja, uderzało wyrażone w niej zapotrzebowanie na możliwość obcowania z różnymi sposobami praktykowania kultury akademickiej, w tym konkretnym przypadku – możliwość przyjrzenia się sposobowi, w jaki dyskutują z sobą poloniści uniwersyteccy.

Studiowanie obok zapoznania się z aktualnym stanem wiedzy danej dziedziny i jej dyskursywnymi właściwościami, obok zdobycia bardziej czy mniej przydatnego typu specjalizacji zawodowej, jest zatem dla młodych ludzi czasem praktykowania szeroko rozumianej kultury akademickiej. Przed kilkoma laty zostałem poproszony o formalną opiekę nad wyprawą polonistyczną do Trójmiasta. Impreza ta została wymyślona i w całości zorganizowana przez studentów. Pięciodniowy wyjazd 45 osób połączony był z konkursem literackim na najlepszy wiersz inspirowany ową wyprawą, ale studenci wygłaszali jeszcze minireferaty na temat literatury i kultury zwiedzanych miejsc, odbyła się piesza wędrówka wzgórzami morenowymi z Oliwy do Wrzeszcza, którą poprowadził Paweł Huelle, pokazujący miejsca ważne dla fabuły *Weisera Dawidka*, odbył się wieczór poetycki, na którym młodzi poloniści rozmawiali z Tadeuszem Dąbrowskim, zaś Mieczysław Abramowicz oprowadzał ich śladami Gdańska żydowskiego, wyjaśniając przyczyny powstania jego książki na ten temat. Nie zamierzam wcale owej wyprawy poetyzować czy romantyzować, po prostu próbuję ją zrozumieć – wycieczka ta zetknęła mnie ze studentami wcielającymi się w różne role polonistyczne i okołopolonistyczne: przewodników po gdańskich śladach Grassa, komentatorów *Błaszanego bębenka*, osób prowadzących wieczór literacki, piszących teksty poetyckie, jurorów oceniających owe teksty itp. Okazało się, że literatura była dla uczestników wycieczki okazją do różnych działań akademickich i paraakademickich. Zdaje sobie sprawę, że wyjazd ten stanowił wyjątek od reguły studenckiej bierności, ale pamiętam o nim jako o możliwości tkwiącej w polonistyce widzianej jako odmiana kultury akademickiej.

Sądzę nawet, że z tym samym zjawiskiem spotykam się wówczas, kiedy uczestniczę w zakończeniu konkursu na najlepszy referat studencki, gdzie wyróżniony student czyta publicznie swój referat; kiedy podczas instytutowego konkursu literackiego dla licealistów studenci przyznają własne nagrody dla najlepszych wierszy i opowiadań; kiedy podczas imprezy czysto promocyjnej, jaką są tzw. instytutowe drzwi otwarte, przygotowują prezentacje własnych kół i rozmawiają z kandydatami o tym, jak wygląda studiowanie polonistyki, i bawią się w filmowanie całej imprezy; kiedy zapraszają na spotkanie koła translatorskiego profesora Balcerzana, poświęcone jego najnowszej książce przekładowawczej, i dociekliwie go przepytują z jego poglądów metodologicznych; kiedy na łamach „Polonistyki” studentka drukuje artykuł włączający się w dyskusję nad kryzysem naszej dziedziny; kiedy dwie studentki wystawiają w hallu instytutowym zdjęcia przedstawiające stereotypowe i niestereotypowe wizerunki studentek polonistyki...

W tych różnych rolach czy wcieleniach studenci praktykują kulturę akademicką, łączą elementy „twardo” naukowe z aktywnością artystyczną, organizacyjną, towarzyską. Przystajemy widzieć ich jedynie w sytuacjach, w których czegoś oczekują, coś biorą, zostają pochwyteni w taką czy inną sieć instytucjonalną. Zauważamy ich także wtedy, gdy zaczynają coś sami tworzyć, wymyślać na rzekomym marginesie „właściwych” działań polonistycznych. Tak dzieje się przecież nawet podczas przygotowywanego przez nich dorocznego meczu piłkarskiego studentów z nauczycielami, po którym odbywa się trwające długo w noc spotkanie towarzyskie. Bardziej może znaczący przypadek stanowi akcja koła feministycznego, które zorganizowało wycieczkę po mieście śladami pisarek, do której mógł dołączyć każdy przechodzień – znowuż poważna akademickość (solidnie przygotowane wypowiedzi studentek i doktorantów) mieszała się z tym, co obok akademickie. Siłą polonistyki rozumianej jako rodzaj kultury akademickiej bywa chyba łatwość wynajdywania i organizowania podobnych działań, w których jakości akademickiego dyskursu o literaturze i języku polskim przenikają się z otaczającą je współczesnością polskiej kultury. Sam przedmiot studiów – literatura i język polski – sprzyja bowiem wytwarzaniu kultury akademickiej złożonej z bardzo różnorodnych praktyk tego typu. Akademickość polonistyki rozumianej szeroko jako odmiana kultury uniwersyteckiej jest nader niejednorodna, mamy tych akademickich sposobów odnoszenia się do literatury i języka polskiego bardzo wiele, współwymiślamy je nieustannie i na co dzień.

Wypowiadam te uwagi z całkowitą, przygnębiającą niekiedy, świadomością istnienia licznych przypadków rutynizacji zachowań akademickich. Gdyby jednak polonistyczna kultura akademicka zawsze była tym tylko zrutynizowanym światem, jak wówczas należałoby wytłumaczyć sobie, że polonistyczne studia doktoranckie cieszą się rosnącą, aż czasem kłopotliwą popularnością, że pojawiają się chętni, by uczęszczać na studia doktoranckie w płatnym trybie studiów niestacjonarnych? Jeżeli pomimo przeciążeń programowych podczas wcześniejszych studiów, osłabionego znaczenia kulturowego literatury, braku społecznego zrozumienia dla sensu uzyskiwania stopni naukowych przez osoby pozostające poza strukturami instytucji badawczych itd. wolą akurat to miejsce od innego, to może przyczyna ich decyzji tkwi w czymś, czego nie bierzemy dostatecznie pod uwagę – w polonistycznej kulturze akademickiej. Nie aż tak zniechęcająco jednowymiarowej, nie aż tak pozbawionej twórczych możliwości. Być może przedyskutowanie tego problemu równie dobrze przysłużyłoby się przyszłym losom polonistyki, jak kolejna reforma programowa.

Ryszard Nycz

Parę praktycznych uwag o możliwej reformie polonistyki przed kolejnym Zjazdem Polonistów

Do tych uwag natchnęła mnie – trochę też rozbawiła, a i, przyznaję, nieco zirytowała – opinia Michała P. Markowskiego, negująca jakiegokolwiek praktyczne rezultaty ostatniego Zjazdu Polonistów. Pamiętam bowiem dobrze atmosferę, w jakiej w latach 2002 i 2003 prezentowaliśmy z Krzysztofem Kłosińskim nasze propozycje programowe; te wyrazy skrajnego oburzenia, szoku, te demonstracyjne protesty, obrazy i urazy..., z jakimi znaczna część czołowych (można nawet powiedzieć: najwybitniejszych) reprezentantów środowiska polonistycznego reagowała na nasze – raczej umiarkowane – propozycje reformy. Zjazd w końcu odbył się zasadniczo zgodnie z naszymi założeniami pod rzeczywiście kompromisowym tytułem *Polonistyka w przebudowie* (pierwsze propozycje były bardziej radykalne) – i dziś myślę, że ta poprawiona metafora tytułowa dobrze zdaje sprawę z naszego pragmatycznego zamysłu. Początkowo sądziłem, jak Michał, że zjazd nie przyniósł żadnej zmiany – żadne centralne obrady, „nasiadówki” nie są w stanie przecież zmienić edukacyjnej praktyki... Ale jeżdżąc przez te lata – przy różnych okazjach – po naszych ośrodkach polonistycznych, i mając wgląd w to, co każdy z nich robi i co zamierza, musiałem zmienić zdanie. Dzisiejsze programy i nawet struktury instytucjonalne bardzo się zmieniły w ostatnim dziesięcioleciu bądź są w trakcie zmiany. Oczywiście, nie ma sensu twierdzić, że to z powodu zjazdu, ale jednak myślę, iż było to wydarzenie, które jednych ośmielało do działania, a innym dostarczało pewnej legitymizacji tego, co zrobić postanowili. Wydaje mi się, że każdy z uczestników tej dyskusji musi to potwierdzić: polonistyka krakowska, poznańska, śląska, lubelska, szczecińska... wyglądały zupełnie inaczej przed dziesięć laty.

Co nie znaczy, oczywiście, że teraz jest dobrze. Wspomniane stany świadomości środowiskowej sprzed zjazdu, jak i zmiany zaszły po zjeździe, zdają się świadczyć zarówno o tym, że te niewyobrażalne dla wielu (jeszcze 8–10 lat temu) przeobrażenia były konieczne, jak i o tym, że ciągle są dalece niewystarczające (widać to choćby w tej dyskusji). Michał Paweł Markowski chce nas przekonać, że częściowe zmiany nie mają żadnego znaczenia, bowiem pożądane rezultaty może przynieść jedynie całkowita zmiana we wszystkich sektorach i wymiarach uniwersyteckiego kształcenia, której dokonanie uważa równocześnie za niemożliwe czy nierealne. Muszę przyznać, że jestem zupełnie niewrażliwy na uroki i pokusy utopijnego myślenia, a ponadto sądzę, że bliskie mu myślenie w kategoriach „wszystko albo nic” jest albo bezużyteczną stratą czasu, albo doktrynerską ucieczką od prawdziwych problemów, która częściej usprawiedliwiać może zaniechanie działania, aniżeli przyczyniać się do zmiany stanu rzeczy. Dlatego też sądzę, że tak naprawdę nie ma wyboru: trzeba – korzystając z dostępnych narzędzi oraz instytucji, takich jak nasze polonistyczne zjazdy – zabrać się do konkretnego działania w tych warunkach, w których się znajdujemy.

Nie mam jednak złudzeń; ani nie da się wszystkich przekonać do gruntownej zmiany, ani też nie da się jej wprowadzić zupełnie bez ich udziału, narzucając wszystkim z zewnątrz czy z góry „jedynie słuszne” poglądy. W tej materii, jak myślę, pewną skuteczność może zapewnić stopniowe pozyskiwanie sojuszników i takie „definiowanie sytuacji” na nowo, które by mogło stanowić realną przeciwwagę dla (naturalnej skądinąd) siły bezwładu, z jaką ludzie i instytucje reprodukują wypracowane formy funkcjonowania. Najważniejsze – i najtrudniejsze jednocześnie – jest wszakże dowiedzieć się w końcu, czego się naprawdę chce..., a w tej kluczowej kwestii ta ciekawa, pełna trafnych spostrzeżeń rozmowa nie posuwa nas – mam wrażenie – za bardzo do przodu. A że przed nami niedługo kolejny Zjazd Polonistów, który powinien odegrać nie mniejszą przynajmniej rolę, niż poprzedni, to sama nasuwa się myśl, by tę dyskusję – która właśnie nabiera rozpędu i wagi – uczynić merytorycznym lejtmotywyem zjazdu. Jego organizatorzy na pewno to dostrzegli; na wszelki jednak wypadek nie zaszkodzi zwrócić na to uwagę. Stąd właśnie te kilka sugestii, które tu pozwałam sobie sformułować.

Trzy są, moim zdaniem, najważniejsze grupy spraw, wymagających dziś podjęcia i rozwiązania. Pierwsza ma charakter prawno-instytucjonalny. Nasz polonistyczny „kryzys” – tak jak kryzysy w nauce w ogóle – bierze się w dużej mierze z klasycznego konfliktu między tradycyjną strukturą dyscyplinową a nową problematyką czy sytuacją problemową, która rozsadza ramy dyscypliny bądź się w niej nie mieści czy nie daje wyartykułować. Zmieniwszy to, co zmienić należało (polonistyka – filologia polska – nie jest dyscypliną, lecz reglamentowanym kierunkiem kształcenia, zbudowanym zasadniczo z dwóch wyprofilowanych „narodowo” dyscyplin) i przekładając ogólny problem na konkrety, można powiedzieć, że dopóki standardy kształcenia będą określały co najmniej 80% możliwych do przekazania treści w przyjętych ramach godzi-

nowych – o żadnych istotnych zmianach programowych nie może być mowy. Niestety obecnej formuły akademickiego kształcenia polega moim zdaniem na tym, że nie można elastycznie zmieniać programu danego kierunku czy dostosowywać go do aktualnych potrzeb poznawczych, społecznych czy cywilizacyjnych – można tylko wybierać między spetryfikowanymi (przez standardy kształcenia) kierunkami istniejącymi w rejestrze MNiSW albo próbować stworzyć zupełnie nowy kierunek. Uważam, że w tej sytuacji należy dążyć w pierwszej kolejności do zmiany stosownego rozporządzenia na takie, które uznawałoby – jak tu skromnie proponuję – iż nie więcej niż połowa minimum zajęciowego byłaby określona przez standardy kształcenia – resztę określałby program, za który odpowiadałyby poszczególne jednostki. Nie rozwijam tego szerzej; dostrzegam niebezpieczeństwa, ale pozytywne strony zdecydowanie, jak sądzę, przeważają. Wydaje mi się nadto, że obecny czas reformy nauki sprzyjać może tego rodzaju korektom, a takie ciała, jak konferencja kierowników studiów polonistycznych, komitety naukowe PAN, KRUP, KRASP, RGSW mogłyby podjąć wspólne działania na rzecz tej zmiany. Jest to sprawa istotna dla wypracowania w ogóle nowej, bardziej sprawnej formuły kształcenia akademickiego, a otwarcie przestrzeni prawno-programowej dla reformy czy modernizacji istniejących kierunków studiów wydaje mi się dziś nawet ważniejsze od wszelkich (potrzebnych skądinąd) kolejnych inicjatyw w zakresie powoływania nowych kierunków, jak też inter- czy transdyscyplinarnych programów. Ta sprawa nie da się prawdopodobnie załatwić „od ręki”; powinien to być więc jeden z tematów uwzględnianych przez organizatorów zbliżającego się Zjazdu Polonistów.

Druga grupa spraw ma charakter programowy – i być może powinna stać się głównym tematem, a przynajmniej faktycznym trzonem merytorycznych przygotowań przed zjazdem, tak by można było na nim dyskutować o konkretnych propozycjach. Czym może i powinna być – dziś i jutro – polonistyka XXI wieku? Czemu służyć? Jakie zadania i potrzeby zaspokajać? Odpowiedzi nie są łatwe, raczej przeciwnie, należą do tych najtrudniejszych, ale i najważniejszych. Nie próbując tu dawać pochopnych odpowiedzi, można by, jak mi się wydaje, roboczo przyjąć, że podstawowe, nieredukowalne (odrębne acz komplementarne) wymiary polonistycznej edukacji są trzy: kompetencyjny, formacyjny, specjalizacyjny.

Pierwszy zdefiniowałbym ogólnie w duchu zmodernizowanej tradycji filologicznych studiów – traktując przy tym równorzędnie wiedzę o języku, literaturze i kulturze – jako kształcenie sprawności czynnego rozumienia tekstów i dyskursów kultury. Czynnego rozumienia, które jeśli jest „rozumieniem się na czymś”, polega nie tylko na rozumieniu, czym jest dana rzecz, ale też, jak jest zrobiona oraz jak może zostać wykonana..., łączy więc erudycyjną wiedzę z kształceniem sprawności.

Drugi – jako kształcenie krytycznej świadomości tożsamości własnej oraz narodowej (etnicznej) kultury w otwartym dialogu z innymi wzorcami podmiotowej i wspólnotowej tożsamości.

Trzeci – jako kształcenie wiedzy i sprawności niezbędnych do prowadzenia własnych, oryginalnych poszukiwań poznawczych o wartości sprawdzalnej w obiegu międzynarodowym.

To oczywiście tylko roboczy punkt wyjścia; sprawa z pewnością zasługuje dziś na publiczne („spektakularne”) i kompleksowe rozpatrzenie... właśnie na takim forum, jak Zjazd Polonistów.

Trzecia grupa problemów może się okazać w praktyce najtrudniejsza do rozwiązania. Myślę o przyzwyczajeniach i dyspozycjach mentalnych: o habitusie polonistycznym i humanistycznym (uczonego i uczącego). Profesor – jak zresztą sama nazwa wskazuje – powinien być kimś, kto ma coś własnego, ważnego, merytorycznie wartościowego do powiedzenia i gotów jest to ujawnić, wystawić na krytykę w przestrzeni akademickiego otwartego sporu, do którego na równych prawach dopuszczeni są studiujący. Tymczasem „norma” jest taka, że profesor reprodukuje cudzą (gdzie indziej i przez kogo innego wypracowaną wiedzę – we wszystkich podstawowych obszarach: teorii i historii zarówno literatury, jak też języka), a studiujący reprodukuje jej rezultaty (z pominięciem własnego wkładu w jej uzyskiwanie). Głównym problemem byłoby oczywiście określenie czy choćby zidentyfikowanie warunków, które stymulowałyby zmianę tych postaw i sprzyjałyby wykształceniu nowego habitusu „kreatywnego działania” – zarówno uczonego, jak i uczącego. To naturalnie też temat-rzeka, który powinien się pojawić jako jeden z głównych wątków najbliższego Zjazdu Polonistów.

Zmierzam do konkluzji. Spróbujmy najpierw dowiedzieć się, czego tak naprawdę szukamy (czy np. przyczyn i powodów naszych nieszczęść, czy też aktualnej racji bytu i widoków na przyszłość...), a wtedy znaleźć to będzie z pewnością łatwiej. I nie rezygnujmy pochopnie z forów czy platform o charakterze samorządu środowiskowego, które – poza wszystkim innym – budują poczucie wspólnoty i współodpowiedzialności. Instytucja Zjazdu Polonistów – obok innych – może być całkiem przydatna w tym dziele, a zbliżający się zjazd – dedykuję te uwagi jego organizatorom – najlepszą okazją, by tymi sprawami właśnie się zająć i w ten sposób sprawdzić jego – czyli nasze – możliwości skutecznego działania.

Odpowiadam z wielkim wahaniem. Najpierw, bo z wieloma wypowiedzianymi tutaj opiniami się zgadzam i niewiele mógłbym do nich dodać, a poza tym – mam wrażenie, że podobnych dyskusji toczy się już nazbyt wiele z rezultatem raczej skromnym, a czasem może nawet ze skutkiem odwrotnym do zamierzonego, a wreszcie dlatego, że posiadam zbyt małą wiedzę na temat całej polonistyki, by uczynić to kompetentnie i z pełnym przekonaniem. Znam nieco dość skromny wycinek polonistycznej rzeczywistości, ale nie potrafię powiedzieć, jak dalece owa wiedza jest reprezentatywna dla „całości”. Czy więc „kryzys”, jaki dotyka polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, jest tym samym kryzysem, który dotyka polonistykę na Uniwersytecie Pedagogicznym w tym samym mieście albo w szkołach wyższych w Poznaniu, Słupsku czy Białymstoku?

Właściwie dlaczego mówimy o katastrofie czy kryzysie akurat dzisiaj? Czy ma to oparcie w „twardych” faktach? Jakich? Rozumiem, że wiąże się to głównie ze spadkiem liczby osób zainteresowanych studiowaniem polonistyki, ale też z tym – tu jednak zaczynają się hipotezy – że są one coraz mniej zainteresowane studiowaniem „tradycyjnej” polonistyki, że są do tego nieprzygotowane albo wołałyby studiować mniej, ciekawiej, inaczej, a mimo to być „polonistami”, a nie np. „filozofami”, „kulturoznawcami”, „dziennikarzami”, „genderologami”, „komiksologami” czy „internetologami”. Czy jednak rzeczywiście? Czy ktoś to zbadał? Jak to wygląda w skali kraju, jak było np. 10 lat temu, a jak 20? Jeśli porównać kondycję polonistyki dzisiaj i, powiedzmy, w roku 1984, gdy zaczynałem studia – to jest lepiej czy gorzej? Dalej: jak to się ma do niżu demograficznego? Czy nie jest to też związane z rosnącą w pewnym momencie liczbą polonistyk w całym kraju? Może dziekani najważniejszych wydziałów polonistycznych zleciliby tu jakieś badania, ale też i ankiety wśród studentów...

Zresztą ciekawe, czy sytuacja filologii narodowych w innych krajach europejskich wygląda lepiej? Gorzej? Czy na przykład we Francji, Holan-

dii, Niemczech, Włoszech albo Rosji rezygnuje się z filologii narodowych, uczenia historii literatur ojczystych czy narodowego języka? Czy model amerykański jest rzeczywiście najlepszy dla humanistyki? Przypomnijmy sobie *Umysł zamknięty* Allana Blooma, by nie powtórzyć błędów, które w swym rewolucyjnym zapale, płacąc za to sporą cenę, popełniono i tam.

Kiedy polonistyka nie była w kryzysie? W PRL? W początku lat dziewięćdziesiątych? A jak miałyby wyglądać jej stan „niekryzysowy”, „niezagrożony”, „niekatastroficzny”? Rozumiem, że nie proklamowano by kryzysu, gdyby na wszystkie polonistyki w kraju garnęły się tłumy studentów. Ale tu przecież nie tylko my mamy coś do powiedzenia. Nie my zapewnimy na przykład to, że praca nauczyciela języka polskiego będzie godziwie wynagradzana i doceniana, czy nawet to, że po prostu ona będzie. W tle są oczywiście różne procesy globalne, o których mówią dyskutanci „Wielogłosu”, ale czy nie jest tu też ważne lekceważenie, a nawet deprecjonowanie wartości literatury (kultury) narodowej, dość kuriozalne zwłaszcza w przypadku polonistów. Kto jak kto, ale to oni powinni bronić szczególnej pozycji literatury polskiej w humanistyce uniwersyteckiej. Zdaje mi się zresztą, że zwolennicy rewolucji polonistycznych, ale i ci, którzy chcą z niej uczynić dyscyplinę „wywrotową” w stosunku do świata, w którym żyjemy, podcinają przysłowiową gałąź, na której siedzą. Polonistyka bardziej od rewolucji, których w III RP przeżywała już wiele, a których rezultaty są wątpliwe, potrzebuje dzisiaj chyba jakiegoś rozumnego, odpowiedzialnego konserwatyzmu.

Nie ulega dla mnie oczywiście wątpliwości, że niezbędne są rozmaite próby udoskonalania polonistyki uniwersyteckiej, na przykład tworzenia w jej obrębie nowych specjalności czy kierunków. Zastanawiałbym się też nad – rozumianym jako pewna opcja – powrotem do studiów pięcioletnich. Podoba mi się idea, by student polonistyki na I roku musiał wybierać specjalność. Zresztą każda uczelnia powinna mieć tu chyba możliwie szeroką swobodę w przeprowadzaniu takich udoskonalen. Przestrzegalbym jednak przed działaniami zbyt radykalnymi, zbyt pospieszными, które wylewałyby przysłowiowe dziecko z kąpielą i rozmywały tożsamość polonistyki, rozumianej jako przekazywanie rzetelnej, dobrej, solidnej wiedzy o dziejach literatury ojczystej i ojczystego języka, w czym bardzo ważne jest i to, co Andrzej Skrendo nazywa „przekazywaniem pamięci kulturowej”, jak i budzenie przynajmniej szacunku oraz zrozumienia wobec narodowej tradycji literackiej. W tym znaczeniu status i wartość polonistyki są (dla mnie) oczywiste, tak jak oczywiste jest dla mnie poczucie odpowiedzialności za moich studentów, którzy chcą w trakcie studiów zrealizować swoje marzenia i pasje, ale też – jako np. przyszli nauczyciele języka polskiego w szkołach – muszą zdobyć odpowiednią do wykonywania swego zawodu wiedzę. Nie mam poczucia kryzysu polonistyki, ponieważ jestem przekonany, iż „mój” przedmiot jest wyjątkowo ciekawy, szczególnie cenny, godny największego zainteresowania, co też znaczy, że nauczany z pasją, a nawet miłością. Ale to oznacza także, że polonista, aby nim

był, musi jednak wiedzieć, kim był Książnin. Co nie znaczy, że nie musi znać Kafki czy Conrada. Dlatego też jestem przeciwko polonistyce „ułatwionej”, kapitulanczej, zastraszonej, niepewnej swojej wartości, amatorskiej w swych próbach ściskania się z terażniejszością.

Z nietajoną satysfakcją przeczytałam niezwykle ciekawą, „Wielogłosową” dyskusję *O kondycji i perspektywach polonistyki uniwersyteckiej*. Nie z tego powodu, że otworzyła mi oczy, uświadamiając kryzys dziedziny, w którą zdecydowałam się zainwestować czas i energię. Nie dlatego także, iż podsunęła jednoznaczne rozwiązania dręczących humanistykę problemów. Najistotniejsze wydało mi się przede wszystkim zaangażowanie rozmówców, przekonanie o potrzebie przeciwdziałania niepokojącym tendencjom i konieczności artykułowania towarzyszących temu wątpliwości. Ośmielam się twierdzić, iż każde z przedstawionych stanowisk jest w równym stopniu ważne. Ważne o tyle, że towarzyszące im argumentacje wymierzone są przeciwko inercji i konformizmowi, na które milcząco przyzywała polonistyczne środowisko. Niezadowolenie humanistów z własnej pozycji społecznej i ze statusu uprawianej dziedziny jest wprawdzie dość powszechne, ale jedynie sporadycznie pojawiają się propozycje rzetelnego rozważenia przyczyn takiego stanu rzeczy.

Gdybym miała odpowiedzieć na postawione na wstępie dyskusji pytanie, czy mówienie o kryzysie humanistyki jest uzasadnione, odpowiedziałabym twierdząco. Argumentację podsuwa każdy dzień spędzony w murach uniwersytetu. Przede wszystkim samo – zasadnicze przecież – pytanie o kondycję polonistyki zdaje się dla części pracowników zupełnie nieistotne. Niektórzy wykładowcy nie przejawiają najmniejszego zainteresowania ani stanem i przyszłością humanistyki, ani losem studentów. Wydaje się jednak, że dyskusja na temat pewnych elementarnych zaniedbań obniżających atrakcyjność uprawianej dziedziny mogłaby pomóc w znalezieniu stosunkowo łatwych sposobów ich wyeliminowania, co z pewnością usprawniłoby działanie jednostek uniwersyteckich.

Niewątpliwie, należałoby się zastanowić, jak efektywniej kontrolować poziom dydaktyki. Dobrym pomysłem jest chyba umożliwienie studentom wyboru kursów i konkretnych osób prowadzących. Jest szansa, że wybierając te zajęcia, które przeprowadzane są w sposób rzetelny i atrakcyjny, dokonaliby

naturalnej selekcji. Jednocześnie byłyby to formą motywacji wykładowców do sumiennej pracy. Prawdopodobnie okazałoby się także, że wielu profesorów zwyczajnie nie zasługuje, by pracować na uniwersytecie, gdyż nie dość, że nie mają ku temu odpowiednich kompetencji, to nie robią nic, ażeby ten stan zmienić. Dlatego groźniejsze niż deprofesjonalizacja, związana z wypróbowywaniem coraz to nowych języków zaczerpniętych z ościennych nauk, wydają mi się pasywność i intelektualna stagnacja, która udziela się także (i tak w większości nieskorym do aktywności) studentom.

Taka prawidłowość jest tym bardziej niesprawiedliwa, jeśli weźmie się pod uwagę rzesze świetnie wykształconych absolwentów polonistyki, którzy z wiadomych przyczyn o etacie na uczelni mogą jedynie marzyć.

Ważne jest także, by studenci zyskali poczucie, że mają realny wpływ na kształt swoich studiów. Jedynie nieliczni wykładowcy interesują się opiniami i odczuciami swych adeptów, wtajemniczając ich w sprawy dotyczące uniwersytetu. W większości debat, które ostatnimi czasy odbyły się na łamach różnych pism, zupełnie nie uwzględniono głosu młodych ludzi. Przyjęło się dyskutować o młodzieży – zapewne w najlepszych intencjach – w taki sposób, jakby była zaledwie narybkiem, który trzeba odpowiednio przzerzedzić lub rozmnożyć, albo któremu wypada zmienić rodzaj karmy i sposób jej podawania. Mam wrażenie, że zbyt często się zapomina, że jesteśmy dorosłymi, w założeniu odpowiedzialnymi, ludźmi, pragnącymi kształtować społeczność, do której przynależymy. Nie jesteśmy tak nieświadomi i niekonsekwentni, jak się sądzi. Po skończonym dniu zajęć nie wybiegamy beztrudno z murów znie-nawidzonego wydziału, ale częstokroć we własnym gronie omawiamy różne aspekty naszej edukacji. Nieodmiennie towarzyszy nam jednak poczucie, że nie mamy większego wpływu na bieg uniwersyteckich zdarzeń. O wszelkich rozporządzeniach jesteśmy informowani odgórnie i nawet jeśli wydają się nam krzywdzące, nie mamy mocy sprawczej, by im przeciwdziałać. Dotyczy to zarówno jednorazowych decyzji, takich jak choćby niedawno zatwierdzone, zbyt wczesne, terminy rekrutacji na studia magisterskie, jak też stale powtarzających się rozterek studentów – na przykład: jak i komu sygnalizować niezadowolenie z kursu, który nie spełniał naszych oczekiwań? Internetowe ankiety, w których anonimowo ocenia się pracę wykładowców, zdają się nie przynosić wymiernych rezultatów.

Ważkie wydaje się pojawiające się w dyskusji stwierdzenie, że struktura nie jest opresywna, lecz bezwładna. Uniwersytet nie tyranizuje, ale sprzyja samowoli i organizacyjnemu chaosowi, co utwierdza studentów w cwaniactwie i lenistwie. Nie można bowiem mówić o niekompetentnych profesorach, jeśli z całą mocą nie podkreśli się istnienia studentów dramatycznie niezainteresowanych dziedziną, w której zdecydowali się specjalizować. Wielu młodych ludzi, studiując filologię, nie opanowuje elementarnych umiejętności pisania, interpretowania, rozmawiania. Ich niewiedzę tłumaczy się wadliwym systemem oświaty, ignorancją – brakiem wychowania, indyferencją ma być świadectwem upadku kultury. W konsekwencji zdejmuje się ze studentów całą

odpowiedzialność, czyni się ich ofiarami błędów wychowawczych rodziców i nauczycieli oraz fatalnych decyzji kolejnych rządów. Niemal od urodzenia skazani są na gimnazjum, nową maturę, system boloński i pękający w szwach kanon lektur. Być może jednak, zamiast użalać się nad poszkodowanymi, warto zacząć wymagać? Jeśli będziemy milcząco przyzwalać na opieszałość i nieuctwo, uniwersytet będzie szkołą, przechowalnią dla nieudaczników, fabryką magistrów, dla których nierzadko wiedzą tajemną jest znajomość podstawowych zasad ortografii i interpunkcji.

Koniecznością natomiast zdaje się uczynienie polonistyki kierunkiem nieco bardziej elitarnym, choćby przez wprowadzenie wstępnej selekcji, na przykład rozmów kwalifikacyjnych. Studenci nie zwykli szanować wydziału, na który może się dostać właściwie każdy, większość też – niezależnie od wysiłku i umiejętności – bez większego trudu uzyskuje tytuł magistra.

Zaproponowany model uniwersytetu, znoszącego pomniejsze struktury wydziałowe i dopuszczający swobodną rotację studentów, jest nie tyle utopią, ile ideałem, na który nie zasłużyliśmy i na który nie jesteśmy jeszcze gotowi. Dopóki bowiem nie zmienimy mentalności, przyzwyczajień i stosunku do studiowania, dopóty naszych problemów nie rozwiąże żadna rewolucja organizacyjna. Studentów, których dziś poraża ogrom materiału i rozmiary kanonu, obezwładniłaby zapewne wielość możliwości wpisanych w ofertę uniwersytetu nowego typu. Tym natomiast, którzy obecnie wykazują się aktywnością, studiowałoby się zapewne przyjemniej, jednak przesadą jest twierdzenie, że w ramach obecnej struktury nie mają możliwości samorealizacji. Wystarczy odrobina zainteresowania i dobrej woli, by studiowanie było inspirujące i satysfakcjonujące.

Jestem przekonana, że jedynym sposobem na przełamanie impasu jest uświadomienie sobie, że kryzys nie jest nam odgórnie narzucany, ale wynika z naszych własnych zapatrywań i niefortunnych poczynań. Być może najskuteczniejszym rozwiązaniem byłoby, gdybyśmy – my poloniści – zaczęli stawiać sobie wysokie wymagania i próbowali je egzekwować, a przede wszystkim – jak na humanistów przystało – na nowo nauczyli się z sobą rozmawiać.